

Łódź przywitała mnie dokładnie tak, jak zapamiętałem: jako architektoniczny bękart, w którym dawna elegancja fabrykantów zdechła pod butem radzieckiego urbanisty. Skoro Warszawa przestała istnieć, to tutaj, w tym morzu czerwonej cegły i szarego betonu, Rosjanie postanowili wyhodować swoją nową, socjalistyczną metropolię. To miasto nie miało duszy; miało jedynie kominy, które wypływały czarną flegmę prosto w twarz Boga.

Patrzyłem przez okno taksówki na to, co zrobili z placem Wolności. To, co kiedyś było rynkiem, teraz przypominało plac defilad w głębi Uralu. W samym sercu miasta, w miejscu wyburzonych kwartałów kamienic, wzniesiono Pałac Jedności Proletariatu. Było to monstrum z piaskowca i granitu, kolos o schodkowej sylwetce, który w łódzkim deszczu przybierał kolor brudnego, surowego mięsa. Jego iglica dźgała ołowiane niebo, jakby chciała przypomnieć każdemu tkaczowi, że jego praca należy do partii, a jego myśli do Moskwy. Wokół pałacu ziały puste, wyasfaltowane przestrzenie, zaprojektowane z takim rozmachem, by czołgi mogły przejechać przez centrum bez zwalniania.

Najgorsza była jednak Piotrkowska. To nie była już ulica — to był betonowy wykop w truchle dawnego miasta. Aby zapewnić „bezpieczeństwo strategiczne”, radzieccy planiści wyburzyli całe kwartały secesyjnych kamienic, poszerzając jezdnię do ośmiu pasów. Teraz Piotrkowska przypominała pas startowy dla bombowców, asfaltową pustynię, po której hulał wiatr, niosąc pył z wybebeszonych piwnic.

Te kamienice, które ocalały, wyglądały jak ofiary egzekucji, którym pozwolono jeszcze chwilę postać pod ścianą. Zdarto z nich wszystko: wylupano balkony, skuto kariatydy, a stiuki zastąpiono surowym, chropowatym tynkiem w kolorze zakrzepłej krwi. Zamiast witryn eleganckich sklepów, w parterach ziały pancerne okna urzędów kontroli i punktów wydawania przydziałów. Nad nimi, zamiast szyldów, wisiały gigantyczne, zardzewiałe megafony, z których niegdyś co godzinę płynął metaliczny głos ogłaszający sukcesy planu sześcioletniego.

Manufaktura Poznańskiego przestała być fabryką dawno temu. Czerwona cegła, która kiedyś była dumą Łodzi, teraz biła po oczach jako mury potężnego garnizonu. Cały ten kompleks otoczono potrójnym pasem drutu kolczastego i betonowym murem z wieżyczkami strażniczymi co pięćdziesiąt metrów. Dawne bramy wejściowe zamieniono w punkty kontrolne, gdzie lufy ciężkich karabinów maszynowych mierzyły w każdego, kto odważył się spojrzeć w tamtą stronę. W oknach, w których niegdyś stały krosna, teraz widać było rzędy

piętrowych prycz i stojaki na broń. Zamiast robotnic w chustkach, po dziedzińcu maszerowały karne czworoboki piechoty w borych płaszczach, a ich miarowy krok dudnił o bruk jak wyrok. Nad głównym wejściem, tam gdzie kiedyś widniało nazwisko fabrykanta, teraz pysznił się gigantyczny, stalowy profil Lenina, spoglądający martwym wzrokiem na to, co zostało z polskiego przemysłu.

Łódź była jednym z nielicznych miast, które niemal całkowicie ominęła wojenna pożoga. Cała furia Ruskich skupiła się na Warszawie; to na Wiśle szedł front, walczone o każdy kwartał. Łódź, nietknięta przez bomby, po wojnie spuchła od radzieckiej pychy tak bardzo, że ledwo mieściła się w swoich dawnych granicach. Paskudna, duszna i beznadziejnie czerwona.

Po wyjściu z dworca taryfiarz zawiózł nas na uniwersytet, gdzie zgodnie z obietnicą przechwycił mnie nasz poznański łącznik — Kochański. Poprawiłem postawiony kołnierz płaszcza, czując na karku wilgotny chłód Łodzi. Poszliśmy we dwóch na kawę do pobliskiej kawiarni, a doktor żwawym krokiem pomaszerował do auli.

Czułem w trzewiach, że i tym razem będzie się działo.

*

TAJNE Egzemplarz nr 1

DOWÓDZTWO 17. PUŁKU UŁANÓW WIELKOPOLSKICH dz. 782/Pers./37
Leszno, dnia 12 czerwca 1937 r.

WNIOSEK AWANSOWY

na stopień ROTMISTRZA

I. DANE EWIDENCYJNE

- **Nazwisko i imię: SZACKI Miłosz**
- **Stopień: porucznik (starszeństwo z dnia 11 listopada 1933 r. – awans przyspieszony, lokata 4)**

- Data urodzenia: 1910 r.
- Przydział służbowy: dowódca plutonu / oficer operacyjny pułku

II. POSIADANE ODZNACZENIA

1. Krzyż Walecznych (1933) – za wybitny czyn męstwa i zimną krew podczas akcji ratunkowej por. rez. Stanisława Radziwiłła w warunkach bezpośredniego zagrożenia życia. Skutkujący nadzwyczajnym, rekordowym awansem na stopień porucznika.
2. Srebrny Krzyż Zasługi (1935) – za unowocześnienie metod szkolenia strzeleckiego oraz wybitne wyniki szwadronu w manewrach jesiennych.

III. NOTATKI KARNE I DYSCYPLINARNE

- 14.02.1935 r. – 3 dni aresztu domowego (ostrego). Powód: Wykazanie rażącego braku taktu poprzez ostentacyjne opuszczenie odprawy dowództwa pułku przed jej zakończeniem. Oficer argumentował czyn „stratą czasu przy oczywistości dalszych wywodów referenta”.
- 10.11.1935 r. – Nagana przed frontem oficerów pułku. Powód: Samowolna zmiana trasy przemarszu szwadronu podczas ćwiczeń międzybrygadowych. Oficer zlekceważył rozkaz marszruty, twierdząc, że „mapy sztabowe nie uwzględniają stanu gruntu, który zna lepiej od kartografa”. Mimo osiągnięcia celu przed czasem, czyn uznano za niebezpieczny precedens.
- 22.09.1936 r. – Surowa nagana z wpisem do akt. Podczas ćwiczeń dywizyjnych, por. Szacki, dowodząc oddziałem wydzielonym, wykonał samowolny manewr oskrzydlający, niezgodny z założeniami operacyjnymi ćwiczeń. Działaniem tym doprowadził do faktycznego otoczenia i wzięcia do niewoli sztabu 15. Pułku Ułanów Poznańskich. Wezwany do

raportu przez rozjemców w kwestii naruszenia regulaminu ćwiczeń, oświadczył: „Nie miałem świadomości istnienia jakichkolwiek zasad podczas trwania działań wojennych”. Postawa ta została uznana za przejaw niedopuszczalnej buty i lekceważenia porządku służbowego.

IV. OPINIA KWALIFIKACYJNA

1. ZALETY UMYŚLOWE I WARTOŚĆ SŁUŻBOWA: Oficer o intelekcie wybitnym, predestynowany do prac sztabowych i dowodzenia samodzielnego. Charakteryzuje się przebojowością, jasnością decyzji oraz zdolnością do błyskawicznej analizy pola walki. Posiada nienaganne maniery, znakomitą prezencję oraz wybitne zdolności dyplomatyczne, co czyni go oficerem o rzadkim formacie kosmopolitycznym (liczne kontakty w Wiedniu i Belgradzie). Wyniki w siodle i wyszkoleniu strzeleckim – niezmiennie celujące. Wykazuje nowatorskie podejście do taktyki, postulując głęboką reformę kawalerii w kierunku mobilnych związków motorowych.

2. WADY I BRAKI: Mimo dbałości o *esprit de corps*, oficer jest wybitnie niesocjalny. Rzadko integruje się z korpusem oficerskim, każdą wolną chwilę spędzając poza koszarami. Wykazuje nikłe zainteresowanie codziennym życiem pułku i jego tradycjami społecznymi. W służbie surowy dla podwładnych ponad miarę, wymagający wobec kolegów, w opiniach często bezwzględny. Indywidualista o trudnym charakterze – chodzi własnymi drogami, wykazuje tendencję do lekceważenia rad, a sporadycznie i rozkazów, jeśli uzna je za taktycznie przestarzałe.

V. KONKLUZJA Oficer o cechach wybitnych, choć trudny w bezpośrednim nadzorze. Wykazuje predyspozycje do dowodzenia jednostkami wydzielonymi, gdzie wymagana jest duża autonomia. Naturalny typ dowódcy szwadronu.

VI. PRZEDSTAWIENIE DO AWANSU Mimo odnotowanych wykroczeń dyscyplinarnych, ze względu na rzadkie przymioty dowódcze i wybitne zasługi szkoleniowe, przedstawiam por. Miłosza Szackiego do awansu na stopień ROTMISTRZA z terminem starszeństwa 11 listopada 1937 r.

(-) Podpis Dowódcy Pułku płk Jan Gross

*

NOTATKI ROBOCZE - WYWIAD Z LUDWIKIEM BUCŁAWSKIM (B. WACHMISTRZEM 17. P.UŁ.)

Miejsce: Poznań, mieszkanie świadka.

Temat: Początki służby i charakterystyka rtm. Miłosza Szackiego.

Uwaga: Świadek pije gęstą, czarną kawę z dużą ilością cukru, dłonie mu drżą. Każde wspomnienie o Szackim kwituje złośliwym uśmieszkiem. Twierdzi, że był w pułku do samego końca wojny w 1946.

[ZAPIS Z TAŚMY - TRANSKRYPCJA ROBOCZA]

JK: Panie Ludwiku, zacznijmy od początku. Rok 1932, Leszno. Szacki trafia do 17. pułku jako świeżo upieczony podporucznik. Jak go przyjęliście?

Bucławski: Jak wrzód na rzyci, panie. Przyjechał taki wypacykowany paniczek, co to se myślał, że ułan to ino na koniku ładnie wygląda i do panienek wzdycha. Od pierwszego dnia łąpał na nas, starych wiarusów, jak na parobków w oborze. Pamiętam, jak włoż rano do stajni koni doglądać. Rękawiczki se, kurwa, białe ubrał! Szkiełko w oku... no, nie szkiełko, ale tak ślepiami z góry łąpał, jakby my gównem smolili. Kopyta kazał pokazywać, jakby to pazury u jakiej dziedziczki były. Myśmy w błocie po pas, upoceni, a ten ino paluchem kiwa:

„Wachmistrzu, tu brudno”, „Wachmistrzu, siodło źle wytarte”. Kawał skurwysyna, a nie człowiek. Zimny jak lód.

JK: Mówi się jednak, że miał posłuch. Że dyscyplina w jego plutonie była wzorowa.

Bucławski: Jaka tam dyscyplina! Zamordyzm zwykły! On tych chłopaków nie uczył, on ich szmacił. Był taki jeden, młody, od kowala z Rawicza. Szacki go ganiał po ujeżdżalni ze trzy bite godziny, bo koń mu, panie, parsknął na zbiórce. Chłopak padł na ryj, zemdłał, a ten chuj nawet nie mrugnął. Splunął ino i rzucił: „Zabierzcie go, jak skończę gadać”. Sadysta jebany. Z wierzchu to on jakieś francuskie słówka pierdolił, ale w środku to samo zło. Myśmy swoje wiedzieli – on nie wojsko kochał, on kochał ludzi pod butem trzymać.

JK: No dobrze, ale rok 1933. Akcja z porucznikiem Radziwiłłem. Szacki go ratuje, dostaje Krzyż Walecznych i błyskawiczny awans na porucznika. To przecież fakt.

Bucławski: Fakt? (śmiech) Ustawka to była dla głupich, a nie fakt! Samem widział z daleka. Szacki dobrze wiedział, że ten Radziwiłł to pany całą gębą, bogol z plecami. Umyślnie poczekał, aż tamten do wody wleci, co by potem na białym koniu wjechać i go przed wyższymi szarżami za fraki wyciągać. Cyrk! Radziwiłł mu był życie dłużny, to Szacki to se zeżarł z kopytami. Te ich kolacyjki w Wiedniu, te wyjazdy... Pan myśli, że on tam o jakichś ważnych sprawach dla państwa gadał? Gówno prawda! On tam ino bogatych fagasów szukał, żeby go z tego naszego Leszna za uszy wyciągli. Gardził nami jak psem. Gadał, że nasz pułk to banda wąsatych głabów.

JK: W 1937 został rotmistrzem. Gross go uwielbiał.

Bucławski: Bo Gross był stary i głupi jak dziecko. Szacki mu w dupe włożył bez mydła, bo wiedział, że od niego awanse idom. Ale w szwadronie? Panie, chlew i burdel! Szacki chlał na umór.

Tak, niech se pan to wielkimi literami napisze! Ze strachu pił, bo tchórzem był. W trzydziestym siódmym to on sam kase z pułku kradł, tom co na kantyne i gości niby szła. Przepijał nasze pieniądze z tymi swoimi szpiclami po hotelach. Na własne gały widziałem!

JK: Wróćmy do charakterystyki rtm. Szackiego. Mówił pan o surowości, ale czy w codziennych relacjach z podwładnymi dochodziło do nadużyć?

Bucławski: (śmiej, kaszel) Nadużyć? On lał ludzi jak psy! I to nie tak, że oficer w pysk da, żeby chłopą otrzeźwić. On lał, bo to lubił. Pamiętam, w trzydziestym piątym, na manewrach. Kazał jednemu ułanowi koszule zedrzeć i sam go batem po gołych plecach prał, bo koń miał kopyto niedoczyszczone. Myśmy stali i patrzyli, a jemu... jemu się aż ślepia świeciły, jakby mu to dobrze robiło. Rzeźnik. A te jego kwity? Na każdego podpierał. Sam żem widział, jak w trzydziestym szóstym smarował papiery wyżej na swoich kumpli! Że piją, że w karty rzną, że długi mają... Chciał se ich z drogi sprzątnąć, żeby samemu szybciej do koryta po rotmistrza się dopchać. Taka to była menda.

JK: Wspominał pan też o jego nieobecnościach.

Bucławski: Oho! Wielki pan Szacki, co to niby tak za swoją babą, tom Marią, szalał. Świętą dziedziczką! Śmiej na sali, panie. Trzydziesty dziewiąty, marszałek Śmigły do nas do pułku zjeżdża. Wszyscy srają po gaciach, chłopcy nie śpiom, pucują sprzęt... A Szacki? Szacki se do Poznania pojechał! Że niby pilne sprawy. A myśmy wiedzieli, że pojechał tam z jakąś kurwą się gzi po hotelach. Zostawił chłopów na naszej głowie! Albo jak my w namiotach pod Poznaniem spali w trzydziestym ósmym. Myśli pan, że on z wojskiem w błocie gnił? Gdzie tam! Wynajął se izbe u baby w miasteczku i panienki z miasta se tam sprowadzał. Całe noce piski, krzyki, muzyczka gra, a myśmy w

deszczu mokli. On tom swoją Marie to miał ino na pokaz, żeby z jej nazwiskiem na salony wchodzić. Zwykły kurwiarz. Brał pułkową kasę i dziwkom płacił.

JK: A co z lipcem 1939? Dlaczego tak nagle wyjechał do Warszawy?

Bucławski: Bo pułk sprzedał! Szwaby już wtedy u nas węszyli po cywilnemu, a Szacki z nimi gorzole chlał. Czternastego lipca... do śmierci nie zapomne. Wtedy żandarmeria zaczęła wywozić naszych, co chcieli w łeb Szwabom dać. Głowacki, Karski... najlepsze chłopaki. Szacki na każdego kwity naszykował i ich sprzedał. Czternastego z rana na peronie się ściskał z takim jednym w skórzanym płaszczu, co mu po szwabsku dziękował, a na wieczór już Szacki siedział w pociągu do Warszawy. Majora mu dali za to, że nam w pułku pyski zamknął. Hiena. Zawsze wiedział, kogo utopić, żeby samemu wyżej wyleźć.

JK: Panie wachmistrzu, to są bardzo poważne oskarżenia. Ma pan jakieś dowody?

Bucławski: Moje ślepie to som dowody! Widziałem go potem w Warszawie, jak już te papiroki ze Szwabami podpisali. Pod kolumną Zygmunta stał i rżał jak koń z niemieckimi oficerami. Szampana z nimi żłopał, a my musieli najlepsze konie na mięso oddawać! Szacki to rzeźnik i zdrajca, panie. On w dupie miał ojczyznę, on dbał ino o swojo kiesę i tom swoją Marie, co mu wszystko po znajomości załatwiała. Szpieg jebany, od samego początku go nam wsadzili, żeby nas od środka rozwalić!

*

Mark Twain powiadał, a za nim moja umiłowana w prawdzie Maria, że kłamstwo zdąży obieć połowę świata, zanim prawda w ogóle włoży buty. Ja tak mocno do prawdy przywiązany nigdy nie byłem. Tam gdzie strach był silniejszy niż sumienie, zawsze

wybierałem ratunek. Niezbyt to może szlachetne, ale niech rzuci kamieniem, jak to mawiał Jezusik Nazareński.

Weszliśmy z Kochańskim do łódzkiej kawiarni, w której pachniało wilgotnymi płaszcami i przepalonym mlekiem. Zrzuciłem z siebie ziąb tego miasta. Zamówiliśmy kawę.

— No, u Jenierowiczów lepsza — powiedziałem, pochylając się nad parującą filiżanką. — Jak tam u pana, panie kolego?

— Ciekawe czasy, naprawdę ciekawe. A dla nas, historyków, wspaniałe wręcz. A jak zdrowie, panie Miłoszu?

— Pewnie beznadziejnie, ale nie czuję, bo petydynę dostaję. Tak w sumie to mi wszystko jedno, póki mnie nie boli i ruszać się mogę.

— Rozumiem. A pan wie, że obiecał mi pan historię swojego awansu opowiedzieć?

— Słowo się rzekło, panie kolego. To jedziem z tą kobyłką. Pytaj pan.

— Dwa lata od podporucznika do porucznika? To chyba rekord Wojska Polskiego.

— Wniosek o promocję to, po prawdzie, poszedł w półtora, bo ten awans akurat na święto pułku dostałem, a nie jak rotmistrzowski, w listopadzie. Ale faktycznie, to było szybko, nawet jak na moje ogromne ambicje. A czy rekord? Szybsze awanse widziałem, ale to zazwyczaj wtedy, gdy nad głowami świszczą kule, a nie ćwiczebne petardy.

— Ponoć Radziwiłła pan uratował.

— A skąd pan to wie?

— A wiem.

— Pewnie z Hiszpanem pan gadałeś, to mój stary druh, a on lubi tę dykteryjkę. Ale fakt, Radziwiłła. Potem pułk miał darmowe kwatery i gościny na Hubertusie u starego ordynata. Odwdzińczyć się potrafili po magnacku, to trzeba im oddać.

— No to jak to było?

— A to było tak. W trzydziestym trzecim, jako młody dwukropek, podczas manewrów jesiennych mieliśmy sforsować Barycz. Drugi szwadron przeszedł brodem, ale nas Cendrowski — ten to zawsze miał ułańską fantazję tam, gdzie powinien mieć regulamin — postanowił przepuścić przez jaz przy starym młynie. Mokry beton, ślisko jak na balu w ambasadzie. Poszliśmy dwójkami, ja ramię w ramię ze Staszkiem. Też byłem szlachcic, dobrze wżeniony, to po imieniu byliśmy, bez zbędnych ceregieli.

Zaciągnąłem się papierosem, mrużąc oczy, jakbym znowu widział przed sobą mętłą wodę.

— W pewnej chwili koń Staszka, zamiast patrzeć pod kopyta, wystraszył się huku wody na progu. Zwierzak zatańczył, stracił oparcie na rzeczonym mchu i jak nie rymnie boki o ten beton! Stachu poleciał do tyłu, nogi mu ze strzemion na szczęście wyszły, ale koń go przykrył falą i pociągnął za krawędź jazu. Barycz niby mała, wąska ledwie na dziesięć metrów, ale tam, w tym bąblu pod progiem, woda się autentycznie gotuje i bije o dno. A on w pełnym rynsztunku — szabla, pistolet, oficerki z cholewami... to waży tyle, że idziesz pod spód jak kotwica. Jeszcze o coś głową uderzył, bo widziałem tylko, jak mu sama rogatywka płynie z prądem.

— I co pan zrobił?

— Co miałem zrobić? Z konia zeskoczyłem, w locie pas z pistoletem i raportówkę zrzuciłem, bo by mnie ta nasiąknięta skóra na pewno do nieba nie puściła. I w tę kipiel. On już twarzą do dołu szedł, napity wodą jak gąbka. Złapałem go pod pachy, wyciągnąłem głowę nad lustro, ale prąd pod jazem trzymał nas w miejscu, w tym cholernym wirze powrotnym. Woda zimna, wrześniowa, aż płuca ścisnęło. Nie mogłem odbić do brzegu, czułem, jakbym miał ołów u nóg, a dno tam mułowate, wciągało przy każdym ruchu. W końcu rzeka za progiem zakręciła, nurt zelżał na rozlewisku i wyrzuciło nas na piaszczystą łąkę, co tam po letnich suszach została. Wyrzuciłem go na ten piach, wykrztusił litr wody, odsapnął. Spojrzał na mnie, zamrugął i powiedział, cytując Sienkiewicza, bo oni tam u siebie w Nieświeżu to chyba tylko to czytali: „Zasłużyłeś się wać na mnie i wierz mi, że wdzięczność moją w sercu, nie w gębie noszę”.

— A pan co na to?

— Ja na to? Powiedziałem mu: „Ty mi tu, Staszek, Sienkiewiczem uszu nie czaruj. Dobrze, żeś żyw. Na Hubertusie dasz dobre ogary do polowań i będziemy kwita. A teraz wstawaj i

chodź, bo nas szwadron pogubi”. Padliśmy tam obaj na tym piachu, patrząc w niebo, bo żaden z nas o własnych siłach na wysoki brzeg by nie wylazł. W końcu jacyś miejscowi flisacy nas zgarnęli i odstawili do jednostki.

Uśmiechnąłem się krzywo, strzepując popiół.

— Staszek na ogarach nie skończył. Napisał do kogo trzeba, poruszył te swoje radziwiłłowskie nieba i ziemie. Dowódcy, pułkownikowi Grossowi, nic innego nie zostało, jak w tempie natychmiastowym przedstawić Szackiego do odznaczenia i awansu. Ja tam się tym aż tak nie pasjonowałem, ale ponoć z brzegu wyglądało to przerażająco. Gross mówił, że order bym dostał tak czy tak, bo uratowanie oficera to psi obowiązek, ale czy od razu Krzyż Walecznych? Pytanie retoryczne. Pewnie skończyłoby się na zdawkowej pochwie w rozkazie dziennym, gdyby do wody wpadł jakiś biedny wachmistrz, a nie ordynat. Takie to były czasy. Krew miała różne ceny w cenniku ministerstwa.

— A reszta? — zapytał nagle Kochański, przerywając ciszę. — Co robili inni ułani, gdy pan walczył z tym walcem pod jazem? Przecież nie byliście tam sami.

Uniosłem wzrok znad popielniczki.

— Reszta? — powtórzyłem z lekką drwiną. — Reszta robiła to, co wojsko potrafi najlepiej: czekała na rozkazy. Myśmy szli w ariergardzie, na samym końcu. Cendrowski, jak się dowiedział, że Staszek idzie pod wodę, po prostu spanikował. Wstrzymał przeprawę, zaczął wrzeszczeć, kazał rozwijać liny, których nikt nie miał pod ręką. Zanim ktokolwiek tam zdążył pomyśleć o zdjęciu ciężkich butów, my byliśmy już sto metrów dalej, niesieni rwącym nurtem za zakręt rzeki.

Zanim zamówiliśmy drugą kawę, zdążyłem mu wyłożyć specyfikę Baryczy, konstrukcję budowli hydrotechnicznych i architekturę pałacu Radziwiłłów. Słuchał z otwartą buzią.

— Niesamowita historia — mruknął w końcu Kochański. — A rotmistrzem pan został zaraz potem?

— W trzydziestym siódmym. To już nie było tak spektakularne, choć i tak tempo miałem przyzwoite. Ja to trochę krnąbrny byłem i zawsze miałem jasno określone priorytety.

— Czyli?

— Maria, Maria, Maria... potem długo, długo nic, a na samym szarym końcu papierosy, pułk i koledzy. Cierpliwości trzeba było mieć we mnie mnóstwo, by się ze mną przyjaźnić.

— Czyli w kasynie pan nie przesiadywał?

— Bywałem, owszem, ale bez wielkiej podniety. Święta, które trzeba było odbębnić — odbębniłem. Zresztą przy szwadronie zawsze było mnóstwo roboty. Chłopców nam podsyłali z głębokiej wsi, a ci bez żadnej dyscypliny, nawet czytać większość nie umiała. Konie kochali, to fakt, ale to byli tacy, co u siebie pod chałupę srać chodzili. Dla nich, jak koń w gównie uwalony nie był, to znaczyło, że czysty. Szpicrutą się namachałem, żeby to zbiegowisko wojsko zaczęło przypominać. Ale potem byli wdzięczni. Przynajmniej tak mi się wydaje.

— No to koledzy oficerowie pewnie za złe panu mieli, że się pan z nimi nie fraternizuje?

— Cierpliwi wobec mnie w większości byli, bo i zawsze coś tam zyskać przy mnie mogli, a po prostu się na swój sposób lubiliśmy.

— Zyskać?

— No wie pan... przystojny byłem, wysoki, szlachcic pełną gębą, a do tego pieniędzy mi nigdy nie brakowało. Raz na jakiś czas w tan trzeba było pójść. Maria nie cierpiała tych moich wyjść, ale nieraz sama mi mówiła, żebym się trochę z kawalerią rozerwał. No to panien zawsze był za mną sznur, jakeśmy się do Poznania na tańce wybrali. Koledzy wybierać mogli potem do woli — co którąś ja odrzuciłem, to ją inny pocieszał. Taką mieliśmy taktykę.

— A pan nie pocieszał?

— A gdzież tam. To nie tak, że mi się nie podobały, ale ja to lubiłem się tak w kotka i myszkę pobawić. Sam ich zachwyt mi wystarczał, te wszystkie umizgi, spojrzenia... Do czynów lubieżnych posuwać się nie musiałem, Marii bym tego nie zrobił. Potem chłopcy na kwatery te dziewczęta prowadzili, a ja sobie do ciotki na pokoje wracałem się przespać i zaraz w sobotę pierwszym pociągiem z powrotem do domu.

— To skąd ostatecznie ta Warszawa, skoro pod Lesznem tak dobrze było? Wspominał pan podczas naszych rozmów o stolicy.

— O to, panie kolego, musisz się pan po poświadczenia bezpieczeństwa „ściśle tajne” w ministerstwie postarać. A tak serio: awans do Drugiego Wydziału dostałem. Wywiad. To było dla mnie miejsce stworzone. Do dziś pamiętam ten lipiec trzydziestego dziewiątego...

— Podobno jakiś spisek miał być? — Kochański pochylił się nad stołem, ścisząc głos.

— Tak. Był. I cieszę się, że pomogłem go wtedy rozbić. Wojsko to nie przedszkole, a oficerowie to nie naburmuszone panienki, żeby sobie nie wykonywać rozkazów, bo się jakichś decyzji rządu nie lubi. Żołnierz stoi na straży konstytucji. Więc jak legalny polski rząd podejmuje decyzje, to wojsko nie jest od tego, by te decyzje na zebraniach podważać. No, chyba że ktoś jest jak Marszałek... ten prawdziwy, niech mu ziemia lekką będzie. On sam utożsamiał naród. Ale on był jeden. Jak ktoś sobie tylko reprezentuje pułk, a w dupie ma dyscyplinę państwową i marzą mu się zbrojne przewroty, to musi się liczyć z tym, że długo nie poprzewraca. Zresztą, ilu ich tam było? Pięciu? Zakały z czwartego szwadronu. I tak ich litościwie potraktowaliśmy.

— A pan dzięki temu poszedł wyżej.

— Bzdura, kolego. To z zupełnie innych powodów było, choć tamte głupoty nie przeszkodziły. Ale o tym innym razem. O, wykład czas zacząć!

— Faktycznie! Idziemy.

Wykłady były jak cała ta odrapana Łódź — mało ciekawe. Jenierowicz u siebie poziom trzymał, ale poza nim przemawiali sami odklejeńcy. Pożegnaliśmy się w końcu z Kochańskim przed aulą i ruszyliśmy w drogę powrotną do Krakowa. Gadaliśmy z Grzegorzem w pociągu o wszystkim, tylko nie o historii. Umówiliśmy się na ten młodzieżowy mecz. Na koniec, gdy podjeżdżały taksówki na dworcu, zapytałem go jeszcze:

— A ten ostatni oszołom na auli to chyba z samej Świętej Inkwizycji się urwał?

— Aaa, profesor Kostrzewa. Tak, on Wojska Polskiego nienawidzi z zasady, wszędzie tylko zbrodni szuka. Ponoć syn jego prokuratorem w Krakowie jest. Taki sam hycel.

Zamilkłem. Poczułem nagle, jak deszczowa, krakowska wilgoć wchodzi mi pod płaszcz. Jak mawiał Joseph Fouché, nasz cichy „patron” w Drugim Wydziale: *Dajcie mi dowolne trzy*

linijki napisane ręką najuczciwszego człowieka, a znajdę w nich powód, by posłać go na szubienicę.

Uśmiechnąłem się złośliwie do siebie, wsiadając do auta. Rodzinny interes Kostrzewów. Jeden w archiwum szuka linijek, a drugi w prokuraturze wiąże pętlę.

Czas umierać.